

*Najmilszemu towarzyszowi dotąd i do rana*

ST. Z.

*Anty*

# Z PSAMI

NAKŁADEM CENTRALNEGO ZWIĄZKU  
POLSKICH STOWARZYSZEŃ MYŚLIWSKICH  
WARSZAWA  
1927.

*K. 2069*

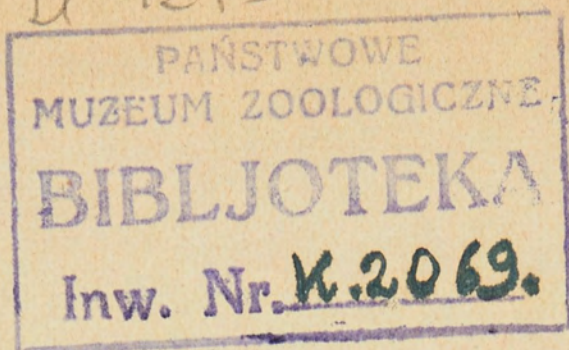
PAŃSTWOWE  
MUZEUM ZOOLOGICZNE  
BIBLIOTEKA  
Inw. Nr. K.2069.

ST. Z.

# Z P S A M I

NAKŁADEM CENTRALNEGO ZWIĄZKU  
POLSKICH STOWARZYSZEŃ MYŚLIWSKICH  
WARSZAWA  
1927.

U 4273



Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15.

**27 stycznia 1927 r. w Kocku.**

Dzień był wymarzony, zimowy, jak z bajki: pełen słońca, bez wiatru i bez mrozu prawie. — Śniegu leżało w lesie tyle właśnie, ile potrzeba, żeby otropić zwierza. Jak na papierze, stało wypisane, gdzie dzik przechodził, a gdzie lis, albo kozy.

Na dziki, więc sztucery i kule.

Najgościnniejszego gospodarza naszego niema w lesie, niestety! — Zatrzymała go w domu — hiszpanka i doktor. Myśliwych czterech; w obławie trzech leśników tylko i chłopców kilku. — Są za to dwa psy, które „idą“ na dzika. Czarny, jak węgiel, Kruczek, weteran, który nieraz już zaglądał śmierci w oczy i w krwawych stawał „potrzebach“. Na jego błyszczącej szacie, jak ordery, świecą zdaleka blizny. Inwalida, upada na nogę, zranioną przez dzika w fatalnym dniu, w którym zbyt gorąco szukał „okazji“. Drugi, srokaty, łaszący się wdzięcznie piesek, prosto z chłopskiego podwórka, gdzie odznaczał się męstwem, rekrutem jest dopiero i, naśladowając bohaterskiego Kruczka, stawia pierwsze kroki na polu chwały.

— Prowadzi sam pan nadleśny. — Bywalcy mówią po cichu, że źle na tem wyjdziemy, bo pan nadleśny dba o swe dziki i krzywdzić ich zbytnio

nie pozwoli. — Zabijemy po jednym i — nie powąchamy ich więcej — powiadają. Aż rośnie serce, że są tacy jeszcze w „niepodległej, ludowej“.

---

Jak w zegarku idzie polowanie: składnie, cicho. Krótka komenda półgłosem. Po białej drożynie leśnej zachodzimy po cichu, jak duchy. Przy linii, na polanie, smutne, ohydne, sterczą rozpaczliwie szkielety koni, zjedzonych przez dziki i przez lisy. Za życie ciężkiej pracy w służbie człowieka — nagroda. Przy padlinie zdeptany śnieg, jak na wygonie. Rozróżnić tropów nie sposób. Pan nadleśny, szczerzy myśliwy, pamięta, że w lesie zima i głód.

Idziemy dalej, a przed nami, przelatując z drzewa na drzewo, drze się na całe gardło i ostrzega knieję policja leśna, czujny, podejrzliwy ród sójek. Jeszcze sto kroków — stanowisko.

---

Między dwiema ścianami młodej, dorodnej sośniny, prosta, jak pod sznur, coraz to węższa, ucieka w dal i gubi się w perspektywie biała linja, na której stoimy. W drugą stronę niedalej, jak trzysta kroków, zagaj, który pędzą, kończy się i linję zamyka wysoka, ciemna ściana starego boru. Na bladym, głębokim błękiecie zimowego nieba korony sosen rysują się ostro, wyraźnie, choć dotknąć ręką.

Miot zwarty, jak mur; strzelać można po linii tylko. Gdyby nie wizy, wykrzesane przed stanowi-

skiem, w gąszczu, o pięć kroków, ukryłby się wóz w cztery konie.

Obława zachodzi dopiero; zalana słońcem, nakryta białą knieją śpi jeszcze i milczy tajemniczo, jak zaklęta. Ledwie doleci z przestrzeni daleki, cichy jak szept, głos niewidzialnego kruka, przeciągającego stronami i odezwie się kucie dzięcioła, dłubiącego starą osikę. Odwieczne, zwykłe odgłosy, którymi witać zwykł myśliwego zimowy las. Potem znowu zalega cisza, głęboka, zupełna, aż dzwoni w uszach.

---

Gdzie tu człowiek, gdzie pełzający w miastach, jak robactwo tłum ludzki! Gdzie jego szare, codzienne troski i drobne, zdawkowe nikczemności! Świat tu inny, lepszy: biały, jasny, przestronny, aż sercu ciasno w piersiach. Strop nieba szerszy, rozpięty wyżej; światła więcej. Mroźne powietrze leśne płynie do płuc, jak balsam. — Troski! — Troski zostały w mieście, a czarne myśli odleciały, jak złe ptaki. Przyroda, dobra matka! Jak matka przygaranie i ukoi.

---

Cisza, światło i nieskończoność powietrza nad białą knieją upajają, jak narkotyk. Wobec majestatu śpiącej przyrody i żywiołowego spokoju, panującego wszechwładnie, świadomość zamiera w hypnozie i stapia się z otoczeniem. Powoli myśl usypia, a rządzić człowiekiem zaczynają zmysły i odruchy. Dla myśliwego, świat otaczający go na stanowisku,

zamyka się we wrażeniach, jakich dostarczają mu wzrok i słuch. Zbyteczne teraz, rozumowanie wszelkie i mądrość książkowa, cofają się bezsilne, a na ich miejsce budzi się ukryty głęboko, śpiący od pokoleń, instynkt. Porwany siłą zjawisk przyrody, która go otacza, człowiek t. zw. cywilizowany, tonie w niej bezwiednie, dyszy jej tchnieniem i drga jej dreszczem.

W uczuciu tem właśnie, zupełnego zlania się z życiem przyrody, w uczuciu subtelnem, może nie zawsze świadomem i dostępnem, leży ten niezmierny urok, jakiemu ulega zmęczony cywilizacją i ludźmi myśliwy, kiedy w kniei, sam na stanowisku, oczekuje zwierza. O krwi nie myśli wówczas za prawdę, a nastrój jego w kniei nastrojem artysty jest raczej, albo gracza, niż zabójcy.

Nęci go tam hazard, tajemnica i czar otoczenia, nie żądza krwi.

---

Nagła, przenikliwa, jak ukłucie igły, przeszyla ostęp pobudka. Daleka, żalonna, rozdarła ciszę i dreszczem targnęła knieją.

Nie rwij się serce, nie uciekaj z piersi!

Jedno jeszcze spojrzenie — ostatnie, czy broń w pogotowiu. Otwiera się przedziwny świat uroku świat febry i oczekiwania. Na stanowisku z myśliwym zostały zmysły tylko i nadzieja. Jego wyobraźnia dawno już błądzi w zaśnieżonych kryjówkach zbudzonego przez trąbkę ostępu. W myśli, jak na



ekranie, przesuwają się obrazy, którymi czarować przychodzi samotnego strzelca duch kniei.

---

Dwudziestomorgowa kwatery młodego, sosnowego gąszczu, równego jak szczotka i tak zwarte-  
go, że mimo słońca na jasnym niebie, pod drzewami,  
jak w piwnicy panuje półmrok. Gdzieś w środku gą-  
szczu, na suchym, zaległo stado. Na grubym, mięk-  
kim, kobiercu z igliwia, zasłanym na ziemi, śniegu  
niema prawie. Białemi, obwisłemi czapami osiadł  
w koronach, gdzie zatrzymał go dach gęstych, zielo-  
nych szpilek. Prowadząca stado stara, doświadczone  
locha, legowisko wybrała dobre: osłonięte od wiatru,  
zaciszne i bezpieczne. Nie zaskoczy śpiącego stada  
zdradziecko ani człowiek, ani zwierz. Wąż, pełznąc,  
oznajmićby się musiał, tyle tam trzeszczącego su-  
szu, splątanego, jak sieć, między drzewkami.

---

Po całonocnej włóczędze, stado zdrożone, ale  
syte i pewne siebie, wypoczywa. Razem dziewięć  
łbów: głowa rodziny — matka, pięć kosmatych,  
rudych jeszcze, okrągłych warchlaków z ubiegłego  
kwietnia, dwa obiecujące, dorodne przelatki, wcho-  
dzące w życie i wreszcie młoda, zgrabna loszka,  
która miesiąc temu dopiero zakosztowała słodczy  
hymenu po raz pierwszy. — „Jego“ niema. — Za-  
szyty gdzieś na ustroniu w gęstwie, leczy rany,  
otrzymane od rywali i wypoczywa po rozkosznych  
trudach grudniowego karnawału. Od rodziny stroni,  
bo drażni go i niepokoi ruchliwy tryb życia młode-

go pokolenia. Dowodzi stadem i opiekuje się matka. Bezpieczna, spokojna, smacznie śpi młodzież, aż chrapią. A zażywne wszystkie, oblane, jak z jesieni.

Pan nadleśny dobry opiekun, jak ojciec wie, że jeść trzeba, i stół zastawia obficie! Warchlaki leżą razem, tuląc się do siebie dla ciepła, jak w gnieździe. Odróżnić trudno czyj ogon, a czyja głowa. Dalej, na uboczu, zaległy osobno przelatki i młoda locha. W cieniu, na ciemnym tle igliwia, ledwie dopatrzeć można brunatne, nieruchome, jak kłody, ciała dzików.

Stara locha drzemie półsnem tylko i, mimo zamkniętych oczów, czuwa. Poruszy nozdrzami, albo, łowiąc szmery, dolatujące z przestrzeni strzeże uszami, jak gdyby dokuczała jej niewidzialna mucha. Zwyczajnie, troskliwa matka! Zresztą kto przewidzi, skąd przyjdzie nieszczęście, co zamierza człowiek. Na świecie biało, śnieg, a śnieg zawsze źle wróży.

Trzy godziny już przeszło śpi stado; nadchodzi południe. Jeszcze godzina, dwie — dzień minie spokojnie. Pod wieczór, prócz znajomych leśników, którzy nie zwykli krzywdzić zwierzyny, obcy do lasu zachodzą rzadko. Byle do zmroku, kiedy ruszyć można i zmienić knieję. Stara postanowi, gdzie żerować pójdą na noc: blisko, czy daleko. Jeden z przelatków, dręczony może złym snem, czy przecuciem, obudził się i wstał. Zawietrzył głośno, tylną nogą podrapał się za uchem, przeciągnął się i, chrząkając, zaległ znowu. Locha otworzyła oczy,

uniosła głowę i, długo wodząc gwizdem, bacznie chwytając wiatr. Napróżno wietrzyła. Subtelne nozdrza upewniły ją, że podejrzanego w pobliżu nie kryje się nic. Mroźne powietrze leśne czyste było jak kryształ i wątpliwości nie budziło żadnych. Spokój dokoła, śpi cały las, cisza, jak makiem zasiał. Ledwie obsunie się z drzewa czapka śniegu i głucho upadnie na ziemię. Głupi przelatek sam nie wie czego chce, niepotrzebnie budził starą. Stara leniwie opuściła głowę, odetchnęła głęboko i zamknęła oczy. Zmęczona była bardzo i morzył ją sen. Ach! Chwilę choćby, jedną chwilę tylko, móc usnąć prawdziwie, jak śpi dokoła świat. Nie! nie ulegnie pokusie. Silniejszy niż zmęczenie, instynkt, każe czuwać i nie pozwoli jej spać. Płyną minuty, jak woda, stara locha drzemie i czeka, aż ruszyć stado przed nocą przyjdzie czas. Nie oszuka jej słońce, nie zawiodą zmysły; pod wieczór inaczej pachnie las.

Już niedługo — ostatnie godziny najtrudniejsze.

W lesie, pod południe, zrobiło się cieplej jeszcze; lochę wyraźnie morzył sen. Nieświadomie już czuwała teraz, nawpół śpiąc. Nie strzygła uszami, poruszały się nozdrza tylko — coraz słabiej....

Obcy, nieoczekiwany, nie z kniei poczęty, przeleciał w przestrzeni dźwięk metalu. Stłumiona śniegiem i gęstwą, głucho, jak z pod ziemi, jęknęła trąbka i, ledwie dosłyszana, urwała. Trąbka! Czuj duch — człowiek w lesie! Przez knieję przeszedł prąd i przeniknął do jej najtajniejszych zakątków.

Trąbka w lesie!... Nie zawsze głos ten zwiastuje złe. Trąbką co dnia obwołują się strażujący leśnicy, trąbką oznajmiają, kiedy żywność wiozą do lasu; trąbką straszyć zwykli kłusowników i złodziei. Głos trąbki więc zwierz zna dobrze. Dziś jednak sygnał inny był niż zwykle: krótki jakiś, zdradziecki. Jak długa i szeroka knieja ocknęła się i nasłuchuje.

Pierwsze, jak na komendę, odezwały się hałaśliwe sójki i krzyząc, poleciały w las. Harcująca na polanie para lisów, zajęta flirtem, wyniosła się bez namysłu i chyłkiem sznurowała w stronę jam. Ona, zalotnica, pewna swych wdzięków, szła pierwsza, on, zakochany widocznie po uszy, nie odstępował pani swych myśli na krok. Czerwono zaświeciły w gąszczach, mignęły kitami i przepadły.

Na wzgórku, gdzie młoda sośnina rosła rzadsza i gdzie dochodziło słońce, leżało we wrzosach pięć sarn: kozioł i cztery kozy. Kiedy doleciał je głos trąbki, jak podrzucone sprężyną, podniosły się wszystkie i, nastawiwszy łyżki, patrzyły nieruchomo w stronę, od której przyszedł głos.

Stary, siwy zając, śpiący pod krzem jałowca, otworzył przerażone wieczne oczy, nastroszył wąsy i nieznacznie podniósłszy słuchy, rozważał, co robić. Uciekać, nie uciekać? Został wkońcu, położył słuchy i przytulony w kotlinie, jak gdyby zapaść się chciał pod ziemię, przywarował. Co będzie, to będzie! Może się uda, może nie zobaczą?

Wielkie oczy otwarte miał szeroko; w piersiach dygotało biedne, małe serce.

---

...Locha nie spała. Ledwie usłyszawszy pobudkę, usiadła, opierając się na przednich nogach, jak pies, wyprostowała kosmate uszy i wyciągając krótką szyję, słuchała, co powie jej więcej leśne radio. I ona знаła głos trąbki; słyszała go tylekroć we dnie i w nocy. Doszedł ją krzyk sójek, ale to ptaki głupie, wierzyć im nie można. Gwałt robią w lesie o byle co. Hałasują niepotrzebnie, kiedy lisa widzą, albo dzika. Groźnego tymczasem nie było nic.

Spokojnie więc słuchała dalej. Młoda loszka obudziła się i widząc, że stara słucha, podeszła bliżej. Słuchały teraz i wietrzyły obie. Ufna w czujność starej lochy, reszta stada nie ruszyła się jeszcze; warchlaki spały.

Minęło pięć, dziesięć minut może, w kniei było cicho.

Jeszcze chwila, długa chwila.... bliżej czegoś oznajmiały się teraz sójki; daleko, jak gdyby zatrzeszczał susz. Wietrzy i słucha stara; słucha, ale w lesie cisza. Jej wrażliwy, nieomylny nos, bezsilny jest dziś. Tem czujniej, tem usilniej nasłuchuje i waha się, co dalej.

Łopocząc skrzydłami, w miocie podniósł się z ziemi duży ptak. — Locha nastawiła uszy, — to cietrzew — zerwał się i poleciał... Znowu przeszła minuta i jeszcze minuta.... ledwie uchwytynie dla

ucha, trzeszczał łom. Stara słyszała wyraźnie. Jak dla siebie tylko cicho zarechotała.

W mgnieniu oka dziki były na nogach i, wpatrzone w lochę, zbite w gromadkę, gotowe, czekały. Nie darmo stróżowała, stado wierzyło jej ślepo. Naśladować starą, próbowały wietrzyć; warchlaki nawet podniosły miękkie jeszcze, małe ryjki i chwytaly wiatr. Nieruchoma, jak głaz, nie poruszając uszami, stara nasłuchiwała.

Chwila... tuż obok legowiska dzików, przez gąszcze, tętniąc i łamiąc z trzaskiem suche gałęzie, jak wichler poniosły się sarny.

Dziki wstały niespokojnie, zrobiły parę kroków i — przystały znowu, co grubsze sztuki na przedzie. Prowadząca locha tylko nie ruszyła się jeszcze. Jej nie o sarny chodzi, już słysząc je ledwie. Nie trwożą jej odgłosy, które poznaje. Instynktem odgaduje, że groźniejsze, więcej złowieszcze są tajemnicze szmery, dolatujące od strony, w której odezwała się trąbka. Co znaczył łamany susz, dlaczego zerwał się cietrzew? — Czyżby?... Słucha więc, słucha, ale słyszy źle — śnieg tłumi. Zresztą cisza znowu, znowu las milczy, jak umarły...

— Nie człowiek chyba! Człowieka zdradziłby dawno susz.—Chodzić po lesie cicho ludzie nie umieją. Wiatr śpi, na nic dziś czujność cała. Nasłuchuje tem pilniej i patrzy stara, ale na oczach swych nie polega. Nie w oczach jej siła. Zawiódł ją wzrok raz jeszcze.

Między gąszczami, na śniegu, na białym tle wśród choiny, zamajaczyło coś i znowu zamajaczyło. Nie słyszała i nie zobaczyła; nie przestrzegł jej wiatr.

— Tropem, po którym wchodziło do ostępu stado, o pięć kroków, jak z pod ziemi, wypadł czarny, duży pies i na oko rzucił się z miejsca, ujadając.

...Teraz dopiero zrozumiała locha....

— Wuf — Wuf!!! — Na oślepie, z łomotem runęło stado, jak czarna lawina i poszło.

— Na stanowiskach słyszeli, że pies dał głos.

---

Na zalanej słońcem, zasypanej śniegiem drodze, jak sięgnąć wzrokiem, życia ni śladu. Nad światem błękit bez chmurki, w lesie martwa, zimowa cisza. W ciszy tej, w półmrocznym ostępie, mieszka tajemnica, na białej linii, skrzącej djamentami, zdradziecko czai się śmierć.

Już stoją myśliwi, ale stanowiska zakrywa gąszcz. Tylko patrzeć, odezwie się sygnał i ruszy obława...

Czar oczekiwania takiego odczuwają wybrani tylko. Tłomaczyć go? Czyż wytłomaczyć można słowami duszę kniei, albo muzykę Chopin'a!

— Nad lasem, wysoko, pławił się w błękiecie jastrząb. Zatokował koło jedno, drugie, zawisł nieruchomo jak szara plamka, zatoczył jeszcze i znikł w przestworzu. Daleko, znowu słyhać było kruka. Marudzi czegoś obława, już męczy cisza i mamić zaczynają zmysły!

— Ruszyło się coś w gąszczu. Nie, to kłęb śniegu opadł tylko i zakołysała się miotła choiny...

— Nareszcie! Nieuchwytny, jak złudzenie, stłumiony, głuchy nadleciał sygnał. Przez chwilę cisza w lesie wydała się głębszą jeszcze. Jeszcze pięć minut, dziesięć może, w miocie naprawdę budziło się życie; ptak załopotał w ostępie, nad drogą przeleciały sójki. Teraz nie dłuży się już czekanie. Jak na dłoni widać, co dzieje się na białej, jasnej drodze.

Pierwsze śmignęły przez linję, jeden za drugim, wyciągnięte jak struny, rude dwa lisy. Wcześniej przeszły. Ba, dla nich czas miłości teraz, dbają o życie. Za drugim stanowiskiem przeszły. Po chwili słychać było, jak dudniło galopem stado sarn. Wyniosły się bokiem na duży las. Obława dobrze idzie, bez hałasu; nie odezwie się niepotrzebnie człowiek ani pies. Dziki są w ostępie napewno; otropione przecież. Jak wyjdą? Ha! Nadzieja też coś warta. Bez nadziei i bez rozczarowań niema polowania. Tem ponętniejsze powodzenie i uśmiech fortuny.

— Już ruszyły się i zające. Jeden przeskoczył właśnie przez linję za stanowiskiem, drugi siedzi w mocie na wizie i rozważa. Nastawia trwożliwie słuchy, rozgląda się na wszystkie strony, aż wychodzą mu z głowy oczy, i medytuje; strzyże wąsami i długo, długo medytuje. Nie łatwo postanowić, o życie chodzi! Pojąć nie może, co dzieje się dziś w lesie, i nie wie, że teraz właśnie, o dziesięć kroków od myśliwego, bezpieczniejszym jest niż w kotlinie. Już, już wie: skoczył i usiadł znowu. Poprobował



wstać słupka, ale słupek w lesie na nic, nie widać nic. Nareszcie! Strzepnął dla animuszu słuchami i pokiwał, nie śpiesząc się, pod własny trop. Jak dyplomata: wracał, skąd przyszedł...

Daleko, w ostępie, pies zaszczekał i pogonił. Na stanowisku odruchowo, drgnął myśliwy. Do pierwszego, ujadając, przyłączył się drugi pies i,

„Już nie jest to powolne granie

Psów, goniących zająca, lisa, albo łanię;

Lecz wciąż wrzask krótki, częsty, ucinany,  
zjadły;

To nie na ślad daleki psy nasze napadły.

Na oko gonią“.

Na oko gonią, są coraz bliżej, ale nie na mnie pędzą. Na lewo, bokiem, idzie gon, aż kipi las. Coraz bliżej linji, coraz bliżej; już rozpoznaję głosy psów.

Wolno idą, widocznie stado prowadzą, nie pojedynka, i czepiają się warchlaków. Co i raz ucinają, a po chwili, raz bliżej, raz dalej, odzywają się, jeszcze zajadlej w innem miejscu. Stara broni warchlaków i upędza się za psami. Wyobrażam sobie, jak gdybym widział na oczy, co dzieje się tam, w ostępie. Teraz pewien już jestem, że strzelać nie będę, więc spokojnie, jako świadek tylko, raduję się przebiegiem akcji.

Ależ nacierają! Dobre psy, nie myślałem! Krucek zuch! Nie przesadzali, kiedy opowiadali o nim wczoraj.

— Znowu milczą; długa przerwa. Locha, rozżarta widać, goni psy. A może, może nawrócą jesz-



NA CALEGO.

<http://rcin.org.pl>

cze. Nie, — czekają daleko, coraz dalej! Gon sły-  
chać teraz wzdłuż linji, między strzelcami a obławą;  
bokiem pójdą. Nasłuchuje, ale myli śnieg i odległość.

W miocie coraz gęściej płaczą się zające; kilka  
mignęło już między myśliwymi. Widzę dwa równo-  
cześnie: siedzą przed stanowiskiem i wahają się, czy  
należy przejść za linję. Straszy je biała droga  
i światła. Kiedy dostrzegły się i poznały, usiadły  
i, bez mała dotykają nosa nosem, dzieliły się wraże-  
niami. Przeszły w końcu, mijając mnie tak blisko, że  
bliższego dotknąć mogłem był lufami sztucera. Pa-  
trzyłem właśnie jak tonęły w gąszczu za stanowi-  
skiem, kiedy po tej samej stronie, o sto kroków za  
daleko, ukazały się na śniegu czarne, masywne syl-  
wetki trzech dużych dzików wolno przecinających  
linję. Szły stępa, nie troszcząc się o psy; niespłoszo-  
ne zupełnie.

Miot miał się ku końcowi, już ledwie sły-  
chać było psy. Mogłem teraz zapalić papierosa i sięgałem do  
kieszeni, kiedy w przeciwnej stronie miotu, gdzieś za  
ostatniem stanowiskiem, huknął strzał: jeden i drugi.  
Widziałem jeszcze, jak czarną, zwartą kupą, przez  
linję przewalało stado i jedna gruba sztuka na koń-  
cu. Padł jeszcze strzał; psy urwały.

Nie dokończyłem papierosa, kiedy z gąszczu  
obok stanowiska wyszedł leśnik z obławy. Razem  
poszliśmy w stronę, w której strzelano. Duży wyci-  
nek został w ogniu; druga duża sztuka i warchlak  
poszły, farbując.

W dziesięć minut później, kiedy zbierała się obława przed drugim miotem, warchlaka doszły wałęsające się w gąszczu psy i trzymały, aż nadbiegł myśliwy, który go zranił. Druga zraniona sztuka zginęła — narazie.

---

W drugim miocie strzelał „Pan Komisarz“ tylko, bez wyniku. Winna była strzelba.

---

Trzeci raz zakładają. Dobry miot, a w miocie najlepsze stanowisko „pod dębem“. Nizina, mieszany porost: brzezina, sporo olszyny i miejscami szmaty zwartej, młodej sośniny. Pod dębem stoją właśnie, na leśnej drożynie; w miocie przed stanowiskiem jaśniej trochę. Na lewo jest strzał „przed siebie“; na prawo gąszcz sosnowy dochodzi do linji, jak parawan. Z tyłu, za stanowiskiem, kępy sośniny i coś jak łączka, jak łozy; trzcina jest nawet. Strzelać można.

Już była trąbka; obława idzie. Już odzywały się psy, raz i drugi. Osobliwie jednak szczerkają: bez sensu, to tu, to tam, coraz ucinają. Rozgrzane jeszcze po warchlaku, którego brały niedawno.

Miot niewielki podobno, tylko patrzeć, ukaza się ludzie na drodze. Długo coś milczą psy; w ostępie widocznie niema nic. Dzik nie zajac!

Gęsto stoimy, sąsiada na prawo widzę nie dalej, jak osiemdziesiąt kroków. I on widocznie mało już ma nadziei, bo postawił sztucer przy drzewie i najspokojniej w świecie pali papierosa. A jednak!

Co najgrubsze sztuki właśnie dotrzymują przed obławą najdłużej. A może? Ludzie nie wyszli jeszcze. Zresztą, czy o spotkanie tylko chodzi!

Ciepło jak w kwietniu, rozpiąłem kozuch i na stołku, jak emeryt, upajałem się słońcem i knieją. Byłem pod urokiem chwili i nie myślałem o niczem, nawet — o dzikach.

W ostępie, jak gdyby po za obławą, czekał daleko pies. Odezwał się parę razy, coraz dalej, i ucichł. Skończyłem papierosa, zdeptałem go w śniegu i zapaliłem drugiego. Cicho, cicho było w przestrzeni, coraz rozkoszniej grzało słońce, coraz ponętniej szeptał las.

---

— Z miejsca, na oko, zażarcie, jak na obcego, natarł pies tuż za gęstwą sośniny przed stanowiskiem i, zanosząc się, pogonił wprost — na mnie. Tętni, łamie, jak gdyby walić się miał las. Pies aż skowyczy.

Kołyszą się roztracone gwałtownie drzewa, chmurą spada z nich śnieg. Coraz zajadlej, coraz bliżej zawodzi pies — już, już! Serce, serce, jeszcze jedna chwila tylko!

Sekunda, jak błyskawica, przez oka jedno mgnienie, w pełnem słońcu, wizja. Na białej drodze, jak na ekranie, jak z obrazu, odyniec. Ciężko sady, aż dudni, aż leci z pod racic śnieg. Wśród jasnej, białej kniei, czarny jak smoła, zjeżony, groźny; prawdziwy „dzik“, prawdziwy dziki zwierz. Na prawo idzie, widzę go z boku: ryj jak taran, biała plama

szabli u pyska, czub między uszami i najeżona grzywa na karku. O krok, ujadając, goni go i ledwie dąży, mały, srokaty pies — sam jeden!

Sekundy, ale wspomnienie na życie całe! Obraz taki nie zaciera się nigdy...

Składny sztucer; nie wiedziałem, kiedy padł strzał. Od zwierza doszedł mnie przez pół charkot, przez pół jęk, zagaszonego, jak świeca, życia. Utknął na łeb i, siłą rozpędu, posunął się po śniegu parę kroków. Ani drgnął, kiedy podszedłem i szarpał go za szynkę pies.

Do dna wychyliłem puhar rozkoszy i spodziewać się dnia tego więcej jeszcze, nie śmiałem, jako żywo, ale Djana, bogini, nie darmo postać ma kobiety!

---

Niedługo trwało śniadanie; czasu szkoda. Nie siadając: wódka, przekąska i opowiadanie — bez końca. Polujemy dalej.

Bezbarwnie zresztą przeszły następne trzy mioty. Do dzików strzelał w nich Pan Komisarz tylko. Rozgoryczony był i zazdrościł nam „szczęścia“. Wyraźnie zawodną miał broń!

---

Ukryło się już słońce za wierzchoły drzew; w lesie, pod wieczór posiniał śnieg. Już opolowane co bliższe rewiry, jedziemy do dalszych, o parę wiorst. Zajmować mamy tak zwane „Kliny“, od pół. Prócz dzików spotkać tam możemy jelenie; do by-

ka wolny strzał. Dzików nie brak nigdzie, co i raz, znać tropy przez drogę.

Jadąc, podziwiamy poręby starodrzewia. Jak niezliczone kolumny osobliwego gmachu, wyniosłe, dostojne, strzelają pod niebo czerwone pnie masztowych sosen. W boru, pod wysokim stropem koron, spokój i cisza uroczysta, jak w kościele. Na ziemi, bez podszycia, tropów mało.

Przyjmują nas wiadomością, że duży, ranny dzik wszedł do miotu, który zajmują. Jest farba.

---

Stoję jako ostatnia strzelba na prawo, w rogu, gdzie przecinają się prostopadle dwie linje. Przed stanowiskiem, podkrzesana już wysoko, trzydziestoletnia sośnina: oko sięga w głąb miotu na dobry strzał. Za plecami las wysokopienny, podszyty tu i owdzie kępami młodej, gęstej świerczyny i jałowca. Pod drzewami biało; wiewiórkę dojrzećby można, Bóg wie gdzie. Strzał na wszystkie strony. Czekać więc z palcem na spuście i uważać zbytnio nie mam potrzeby. O sto kroków za mną, czekają na linji konie, które przywiozły nas przed chwilą.

Ledwie nas postawiono, psy odezwały się, zanim zagrała trąbka. Obydwa gonią, odróżniam głosy, choć daleko. Na linję pędzą, słyszę wyraźnie; na lewe skrzydło. Dobrze trzymają, jak gończe, nie ucięły ani razu; coraz bliżej są linji, coraz bliżej...

Dwa strzały padły na ostatniem stanowisku. Krótka chwila ciszy i, już za linją myśliwych, gonią

znowu; jeszcze goręcej, jeszcze zajadlej, aż drży od wrzasku las. Okładają teraz i na linję prowadzą, na której stoją konie; dalej gdzieś, przed końmi będą przechodzić.

Zajeżdżać, zajeżdżać — co tchu! Od czego konie! — Odemnie najbliżej. A może uda się, może do mnie właśnie uśmiecha się Djana, może dziś mój dzień.

Widząc mnie pędzącego, doświadczony woźnica, bez mówienia, wiedział o co chodzi. Ledwie dotknąłem stopnia, ruszyliśmy z kopyta.

Wyraźnie na naszą linję pędzą; ostro idzie gon. Jedziemy, aż warczą koła u pojazdu i migają drzewa przy drodze. — Zdażę, czy nie zdażę? — Byle odczuwać i rozumieć: niezrównane chwile hazardu i niepewności, chwile zwątpienia i nadziei. — Zdażę, czy nie zdażę?!

Wyciągniętego kłusa, aż w galop wpadają konie — trzysta kroków, nie więcej! — Dojedziemy! — Już z boku nie przed nami słyhać gon — wolniej teraz, wolniej: jeszcze stępa pięćdziesiąt kroków. Nogi wysunąłem z wasąga. — Stać! Stać! — Za nami szczekają psy; na jednym miejscu szczekają. — „Stanowią, panie“ — potwierdził stangret. — Już mnie nie było.

Niedaleko miałem — trzy, cztery minuty może. Blisko już, coraz bliżej słyszę ujadanie, gorąco idzie rozprawa. Aż dziwno, że tam dwa psy szczekają tylko. Już na strzał jestem bez mała; tuż, tuż wre bitwa. Wypatrywać już zaczynam i zwalням, żeby



odetchnąć. Strzelać nie mógłbym, tak bardzo bije mi serce. Dzika, dużego dzika pod psami mam przed sobą. Na myśl przychodzą mi, słyszane kiedyś historie. — Ba! od czego sztucer! — Zaglądam śpiesznie, czy nabity.

Ostatnie pół staj idę wolno zupełnie, wypatrując i gotów każdej chwili. Jestem już na strzał, na bliski strzał i — strzelić nie mogę. Nie widzę dzika, ani psów. Szmat młodej świerczyny, piętnaście kroków wzdłuż i wszerz, tak zwartej, tak gęstej, że już o krok od brzega nie widziałbym końca luf. W samym środku gąszczu, za zielonym murem, o dzieście kroków, zawzięta, zażarta toczy się bitwa. Tuż, tuż, słyszę psy, słyszę charkotanie i fukanie dzika, słyszę kotłowanie i trzask łamanego suszu — ale dojrzeć nie mogę nic. Z biciem serca nasłuchuję, kiedy zaskomli ścięty pies. Mniejsza o dzika, psom, psom pomódz trzeba, jak najspieszniej. Obchodzę gąszcz dokoła; zaglądam ze wszystkich stron; patrzę nisko nad ziemią — napróżno. Wszystko napróżno — nie widzę nic. Stoję, jak z przewiązką na oczach — bezradny. Nie wiem poprostu, co robić! Strzelić na alarm? — Pójdą drugą stroną gąszczu i zaczynać wypadnie od początku. Probować wdzierać się do środka, bądź co bądź? Próżne ryzyko: w gąszczu nie strzełę, a kordelasa nie mam i psów mało, nie utrzymałyby dzika. Dać sygnał, wołać pomocy? Zadługo czekać i dzika zabije ktoś inny.

Nieoczekiwanie zupełnie z kłopotu wybawiły

mnie psy. Pierwszy wybiegł z gąszczu doświadczony Kruczek, a za nim srokaty psina, dzięki któremu zabiłem pojedyńka. Nietknięte na szczęście obydwaj i zdrowe. Kiedy mnie zobaczyły, uradowane, zaczęły skakać i łaszac się, zachęcały wyraźnie, żeby pójść za nimi w głąb gąszczu. W ich pocziwym, psim języku znaczyć to miało niewątpliwie: „Wszak widzisz, robimy, co możemy, ale same nie damy rady!“ Dzielne pieski żądały pomocy.

Upewniwszy się, że zwierz nie wyszedł i tkwi jeszcze w gąszczu — nie wiedziałem znowu, co dalej. Byle ruszyć go z tej fortecy. Potem, co będzie, to będzie!

Od brzegu świerczyny nie dalej byłem, niż metr. Przyszczuwając z całych sił, skoczyłem i zrobiłem ruch, jak gdybym biedz chciał w środek gąszczu. Szczekając zaciekle, psy rzuciły się bez wahania.

Stałem na samym skraju świerczyny i w pogotowiu czekałem. Nie upłynęło pół minuty, usłyszałem tuż przed sobą fuknięcie i równocześnie, o krok, zobaczyłem szary grzbiet wypadającego wprost na mnie dzika. Przeleciało mi przez głowę, że tak przedstawia się, widziany z góry, uderzający torpedowiec: szary, wydłużony i szybki, jak piorun. Sekunda, czas światła błyskawicy; nie miałem czasu podnieść broni do twarzy.

Odruchowo, nieświadomie, zastawiłem się sztucercem i, w tem samym mgnieniu oka — dotknąłem lufami zwierza, pociągnąłem za spust i uczułem ude-

rzenie w kolano, po którem, twarzą naprzód, upadłem na ziemię. Dzik, a za nim psy, przewaliły mi nad głową i poszły.

Zdażyłem jednak zerwać się i strzelić raz jeszcze, o dziesięć kroków, w zad zwierza. Ośmielone strzałami, psy uderzyły z podwójną zaciętością.

Sprawa była wygrana.

Czy to na skutek otrzymanych już ran, czy z powodu nacierających coraz zuchwalej psów, zwierz, zmuszony odcinać się na prawo i na lewo, szedł wolno, a nawet zatrzymywał się chwilami i do kontrataku przechodził sam. Role zmieniały się wówczas: podkuliwszy ogon, pies uciekał, a gonił go, fukając groźnie, rozsierzony dzik.

Obraz był godny pędzla Chełmońskiego, albo Fałata: w zimowym, otwartym lesie, na tle śniegu, duży, czarny dzik, opędzający się psom. Scena taka wynagradza myśliwemu sowicie lata całe zawodów i kochać każe mu knieję goręcej jeszcze.

Ze względu na psy jednak, dla których rozżarty, bitny zwierz mógł być niebezpiecznym, zakończyć dramat należało jaknajśpieszniej. Trzymając sztucer w pogotowiu, szedłem za walczącą trójką na bliski strzał. Strzelić jednak, z powodu psów właśnie, nie mogłem. Akcja była tak gorąca, potyczka tak zawzięta, że mimo całej, ustawicznej gotowości, uchwycić nie mogłem momentu, żeby strzelić, nie narażając życia psów. Nie uśmiechały mi się wawrzyny tych oplakanych nemrodów z pod ciem-

nej gwiazdy, którzy, nerwów swych opanować nie umiejac, białą, małą psinę biorą za wilka\*), albo psa zabijają, zamiast dzika. Ba! Na pamięć mi przyszedł wówczas epizod, w którym myśliwiec taki morowy wypatrzyć potrafił i zabić jednego jedyne go psa, jakiego obszcze kiwał stado kilkunastu dzików. Sztuki podobnej nie dokaże byle kto! Po tryumfie takim, tylko pacierz zmówić i postawić sztucer do kąta, na wieki wieków.

A tu jak ukrop, aż gotuje się przedemną!

Składam się raz, drugi — ani rusz! Wymierzyć w łeb, czy łopatkę zwierza, nie mogę, bo albo zasłaniają drzewa, albo przeszkadzają czepiające się jego boków i karku psy. Jeżeli dzik próbuje przerwać bitwę i pójść, jeden pies zabiega mu drogę i naszczekuje od przodu, a drugi tymczasem, szarpie go z tyłu za szynki. Dzik zwraca się wówczas, fuka, i tańczy dalej.

Podchodzę bliżej jeszcze i, teraz dopiero, patrząc na zwierza, uganianego się za psami, widzę, że mam przed sobą, niestety, nie pojedyńkę, nie wycinkę, ale ogromną, starą lochę. Trudno, stało się! Sumienie zresztą mam czyste, bo ranna już była i farbowała, kiedy odszukały ją i napędziły mi nasze Kruczki.

Rozumiem teraz, dlaczego tak śmiało i tak bezkarnie dokuczać jej mogły psy w gąszczu. Przykro

---

\*) autentyczne.

mi było szczerze i, temwięcej, pragnąłem skończyć. Pewien już byłem, że zwierza dostanę, nie chciałem więc męczyć go daremnie. Dopomogła mi nieszczęsna locha sama. Widząc, że ani obronić się, ani ująć nie może, zawróciła i omijając mnie bokiem, próbowała przebić się do gąszczów, z których wyparowały ją przed chwilą psy.

Na to czekałem i, naprzelaj, dwadzieścia kroków, zabiegłem drogę.

Na sztych, wolną od psów, miałem ją przez moment pod nogami prawie. Nieledwie dotknąwszy głowy zwierza, strzeliłem między oczy.

Cordite nie żartuje! Już w chwili strzału zauważyłem, że na grzbiecie padającego zwierza otworzyła się buchająca krwią rana. Kula przeszła przez łeb, przez cały kark i otworem wielkości dłoni wydarła się w świat. Nosorożec i bawół upadłby w ogniu od takiego strzału! Zdrowe serce i silne nerwy zabierać trzeba na takie polowanie.

Teraz dopiero, odetchnąwszy, kiedy schylony oglądałem rany dzika, zauważyłem, że odzienie na lewym kolanie rozdarło mam i zakrwawione. Nie dolegało mi nic i nie wiedziałem, że jestem skaleczony. Rana zresztą ciężką nie była, ani hańbiącą. Otrzymałem ją z przodu, w chwili kiedy zwierz wypadł z gąszczu, a ja nie mogłem wymierzyć, ani usunąć się z drogi.

Mówiąc językiem medycyny sądowej, były to, ściśle biorąc, długie na cal i niezbyt głębokie dwie rany „ciężo-miażdżone“, z przodu i nazewnątrz

rzepki. Czy była to naprawdę szarża? Być może, iż nieszczęsna locha, naciśnięta przez psy, spotkawszy na drodze swej przeszkodę, usunąć ją chciała tylko i odruchowo uderzyła mnie zębami, czy po prostu ugryzła w kolano. Bardzo doświadczeni myśliwi, liczący zabite dziki na setki, ostatnie to przypuszczenie potwierdzają. Pozbawiona szabel locha uderza w ataku zębami i gryzie. Z wycinkiem sprawa nie poszłaby tak gładko: rana byłaby cięższą i, niewątpliwie, otwarte bym miał kolano.

Oprócz ostatniej w głowę, śmiertelnej, zwierzę dostał trzy kule: najpierwszą, obcą, nisko na miękkie, moją wystrzeloną, kiedy locha uderzyła mnie, wypadając z gąszczu, nisko w piersi, gdzie zaczyna się brzuch, i moją drugą obok nasady ogona, od strzału w zad, kiedy próbowała odejść.

Długo odwołać nie mogłem od zwierza rozżartych psów. Z lasu, coraz bliżej, nawoływała trąbka.

---

Ostatni miot był, jak apoteoza! Czerwono, w ogniu zachodziło słońce i blaskiem ostatnich promieni zegnało piękny, biały świat. W powodzi światła krótki, zimowy dzień konał już; w lesie, pod wieczór, brał mróz. Kończyła się „ochota“; w duszy, po upojeniach dnia, budził się żal i głuchy, nieuchwytny lęk, że więcej szarem jeszcze wyda się jutro.

Znowu, jak zrana, pędzili młodą sośniną zwarłą, dziką, wyrosłą jak posiała ją matka-knieja; bez ciętych linji i bez wiz. Na krok nie było strzału w

miot. I lepiej tak: nie zaprzęta myśli obawa o ludzi i o psy.

Za linią stanowisk dopiero, na tyłach, jak zasłany obrusem stół, ciągnęła się w obie strony, pokryta śniegiem, leśna łąka. Za siebie więc strzał, jak na dłoni. Za łąką, o sto pięćdziesiąt kroków, wznosiła się i zakrywała świat ściana starych sosen. Pod skłębionym stropem koron, odcinających się zielono na tle czystego nieba, jak żywa miedź, świeciły w słońcu czerwoną korą śmigłe, wyniosłe pnie.

Nastrój wieczoru był już w przyrodzie: nie psuł spokoju ani głos w przestrzeni, ani ruch. Cicho szła obława, nie odezwała się trąbka, ani pies. Po dziennych dramatach las wracał do równowagi i usypiał. W gasnącem świetle wieczoru, milcząca knieja była jak zaczarowana, jak z bajki. Życie w tym obrazie odgadywały nerwy tylko i wyobraźnia.

Na śnieżnej bieli łąki, ukazał się lis. Czerwoną linią przekreślił przestrzeń i przepadł w lesie za łąką. Zjawisko było tak nikłe i tak ciche, że majestatu usypiającego lasu naruszyć nie było w stanie. Kiedy zniknął zwierz, śnieg na łące wydawał się bielszym jeszcze i spokój bardziej głębokim.

Zdradziecko, wilczym krokiem, przez ostęp szła obława.

Na łące, bliżej niż przed chwilą, pojawił się znowu lis. Świętokradzko zagrzmiały dwa strzały i nowym dreszczem targnęły usypiającą knieję. Już dawno zniknął lis, a słychać było jeszcze, jak tonyły w przestrzeni, błakające się po starym lesie e-

cha. Kiedy ucichły, spokój powracał znowu i znowu nastąpiło milczenie.

Uwagę moją całą pochłoniął zając, który wyszedł z miotu i tuż obok stanowiska, na brzegu łąki, przystanął słupka. Olśniony światłością, która go ogarnęła, nie śmiał iść dalej! Uciekał z miotu i droga najwyraźniej wypadała mu do lasu, jaką poszły przed chwilą lisy, ale przerażała go otwarta, biała przestrzeń, przez którą musiał przechodzić. W gąszczu przekraść się można i wymknąć bokiem; można politykować! Na gładkiej, białej łące ani rusz; na nic dyplomacja cała. Ciągnęło go do lasu, ale nie dowierzał swej odwadze.

Widocznie zakłopotany bardzo długo, długo siedział na skraju gąszczu i patrzył. Obcierał wąsy łapkami, słuchał, ale ruszyć się z miejsca nie śmiał. Nie pociągnął go przykład odważniejszego towarzysza, który wyskoczył z miotu, jak z procy i bez namysłu śmignął do lasu. Opadł na łapy, zrobił parę kroków i zatrzymał się znowu, jak gdyby wyrósł przed nim niewidzialny mur. Zabrakło mu odwagi; chyłkiem wrócił w gąszcz.

---

Machinalnie zwróciłem głowę w przeciwną stronę; drgnąłem. W czerwonym, oślepiającym świetle zachodu, jak wyrosłe z pod ziemi, przez białą przestrzeń łąki, szły wolno trzy jelenie — łanie. Nie było ich tam przed chwilą, pojawiły się niewiadomo kiedy i wypełniały teraz cały krajobraz. Pod słońce, w aureoli światła, jak w ogniu, bez kontu-



rów, jak promienna wizja, szły, poruszając się ledwie, w stronę lasu. Jak astralna zjawą w blasku słońca przesunęły się cicho przez śnieżne tło i między czerwonymi pniami sosen rozplynęły się w cieniach boru.

Przetarłem oczy: czy to żywe jelenie były naprawdę? Czy Boecklin'a „Zakłeta knieja“, albo „Cisza w lesie“?

I znowu leżała przedemną pusta, martwa łąka; nad knieją ciągnęło na nocleg wrone ptactwo; za krawędź lasu kryło się słońce.

Patrzyłem jeszcze, jeszcze byłem pod wrażeniem, kiedy na białą łąkę wyszedł człowiek i zapłakała trąbka.

Polowanie było skończone.

---

Noc już była gwiazdzista, kiedy wyjechaliśmy z lasu. W oddali migotały w oknach gościnne światła; jasnym płomieniem palił się w sercu Znicz wdzięczności.

---



Inst. Zool. PAN  
Biblioteka

**K.2069.**